



# Korzenie

PISMO SPOŁECZNO - KULTURALNE  
CENTRUM KULTURY  
im. Marii Płonowskiej w BOLESŁAWIU

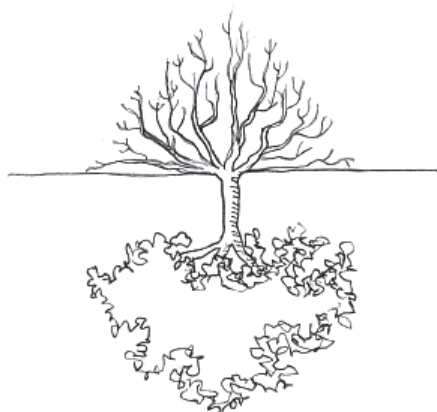
MARZEC – KWIECIEŃ 2020 r. NR 2 (118) ISSN 1429-0499

**cz. II**

**Wspomnienia z czasów II wojny światowej**

**Zespół Przedszkolno - Szkolny w Krzykawie**

### **Przeszłość nie jest krainą, którą tak łatwo opuścić - wspomnienia**



Ten dzień, w którym rozdzielono mnie z rodziną, pozostanie w mojej pamięci do końca życia – mówiła prababcia. Były to ciepłe, wiosenne dni 1940 roku. Leżałam na łóżku i wpatrywałam się w okno. Nagle usłyszałam pukanie i dziwne krzyki na zewnątrz. To niemieccy żołnierze przyjechali po mnie. Zabierali wszystkie niezamężne, młode kobiety z naszego kraju na przymusowe roboty do Niemiec. Byłam wówczas sama w domu, moja matucha pojechała do ciotki Karolki na Pomorzany. Nie mając nic do gadania, ze łzami w oczach spakowałam walizkę i wsiadłam do niemieckiego wozu. Po paru minutach znalazłam się na stacji, gdzie „przepakowywano” nas z wozów do pociągu, a wszystkiego pilnowali żandarmi z psami. Chciałam wówczas uciec, ale po chwili doszłam do wniosku, że to tylko marzenie. Jak się wkrótce okazało, to miejscowy stolarz „sprzedawał” Niemcom panny. W zamian za to, że nie odebrano mu jego córek.

### **Dokąd pojechałaś prababciu? – spytałam nieśmiało.**

- Dotarłam do Bischofswerd. I tutaj zaczyna się nowy rozdział mojego życia – oznajmiła prababcia. Na stacji czekała na mnie „bauerka” Britta, czyli moja nowa gospodyni. Przywitała mnie ciepło i serdecznie i zaprosiła do bryczki. Obawiałam się, czy będą mnie dobrze traktować, do kogo trafię i jak długo tutaj zostanę. Powóz, którym jechałyśmy, był ogromny i pięknie połyskiwał w blasku słońca. W czasie podróży moja pani opowiadała mi o tym, co będę robiła. Poprosiła mnie również, bym nie miała pretensji do niej o to, że zabrano mnie z domu rodzinnego – westchnęła prababcia. Jednakże ja nie miałam ochoty na dłuższe rozmowy, odpowiadałam półsłówkami, bez większego zaangażowania. Starłam się zapamiętać budynki, charakterystyczne znaki, które mijaliśmy po drodze, by w razie ucieczki zapamiętać trasę. I tak dotarłam na miejsce. Dziedziniec był ogromny, gospodarstwo olbrzymie, a gdy weszłam do środka, poczułam zapach świeżo upieczonego ciasta. Przy stole siedziała dziewczyna, na pierwszy „rzut oka” moja rówieśniczka. Miała na imię Zośka.

*Z okazji jubileuszu 100. rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości uczniowie naszej szkoły licznie przystąpili do konkursu "Szkice pamięci. Rodzinne wspomnienia religijno - patriotyczne" zorganizowanego przez Kurię Diecezjalną w Sosnowcu pod patronatem honorowym Jego Ekscelencji Księdza Biskupa Grzegorza Kaszaka, Instytutu Pamięci Narodowej (oddział Katowice), Senatora RP - Pani Anny Marii Anders.*

*Owocem prac są teksty przygotowane wspólnie z członkami rodzin na temat przeżyć przodków związanych z odzyskiwaniem przez Polskę niepodległości. Udało się ocalić przechowywaną w wielu rodzinach chlubną pamięć Tych, którzy poświęcali swoje życie dla Ojczyzny. Są to bardzo wartościowe opowiadania, toteż opublikujemy je w celu zapoznania szerszego grona z tradycjami patriotycznymi na naszym terenie.*

*Magdalena Pichlak, Maria Sutyła*

### **I co było później? - zapytałam.**

- „Bauerka” zaprosiła mnie do stołu i podała obiad. Pamiętam jak dziś. Była to zupa ziemniaczana, a na drugie danie kluski z mięsem. Siedziałam i łyły sływały mi z oczu. Nie mogłam nic przelknąć. Bałam się, że gospodyni dorzuciła do jedzenia czegoś trującego.- No, skosztuj czegoś wreszcie! - podniesionym głosem powiedziała pani Britta.

W końcu nie wytrzymałam i zaczęłam jeść. Pomimo wszelkich uprzedzeń, jakie miałam dotąd, muszę się przyznać, że obiad był bardzo smaczny. Na deser dostałam kawałek ciasta i kompot z owoców. Nagle do kuchni wszedł jakiś mężczyzna. Był to brat „bauerki”, który zarządzał pracą w gospodarstwie. Zapoznał mnie z obowiązkami. I tak minął pierwszy dzień mojego pobytu w Niemczech – westchnęła prababcia. Nazajutrz, gdy otworzyłam oczy, pani pokazała mi całe gospodarstwo. Musiałam znać każdy zakątek posiadłości. Wieczorem gospodyni oznajmiła mi, że następnego ranka jedziemy do miasta. Gdy rano usłyszałam pukanie do drzwi, zerwałam się na równe nogi i szybko zbiegłam do kuchni. Po zjedzeniu śniadania ubrałam się, a gdy wyszłyśmy z właścicielką na dziedziniec, bryczka już czekała na nas na podjeździe.

### **Dokąd pojechaliście? – zapytałam prababcie.**

Dotarliśmy do dużego sklepu z napisem „Schneider”. Gdy weszłyśmy do gmachu, ujrzałam piękne sukienki. Pani kazała mi wybrać sobie jedną i oświadczyła mi, że dostaję ją w prezencie, bym dobrze pracowała. Dalej czekały na mnie kolejne niespodzianki. Fryzjer oraz piękne skórzane buty. W domu tylko mogłam o takich pomarzyć. Chodziłam w trepach zrobionych z drewna przez ojca. I tak kolejny dzień dobiegł końca.

Wkrótce „bauerka” zaprowadziła mnie do stajni, gdzie było piętnaście koni i dziesięć krów. Miałam wyczyścić boksy, wywieźć obornik, wydoić krowy i nakarmić zwierzęta. Wieczorem byłam tak zmęczona, że zaraz po kolacji zasnęłam. I tak mijał dzień za dniem, aż nadeszło lato. Zaczęła się praca w polu, żniwa, plewienie. Powoli przyzwyczaiłam się do zasad panujących w tym domu. Miałam coraz to nowe obowiązki, ale i przyjemności. W każdą środę i piątek chodziłam do tamtejszej cukierni, która była prowadzona przez siostrę mojej gospodyni. Ponieważ nie umiałam się porozumieć z nią w języku niemieckim, dostawałam zawsze karteczkę, na której miałam opis wszystkich słodkości. Podawałam ją w cukierni i w zamian otrzymywałam dużą paczkę z kolorową kokardką,

w której były ciasta i słodczyce, o jakich w domu rodzinnym mogłam tylko pomarzyć. Na koniec mówiłam „danke” i dostawałam zwykle jeszcze coś do zjedzenia „na drogę”.

Gdy nadeszła jesień, miałam trochę mniej obowiązków niż wiosną i latem. Wówczas zaczęłam naukę szycia na maszynie i robótek ręcznych. Tak moja pani zachęciła mnie do rozwijania zdolności manualnych. Dni mijały niesamowicie szybko – opowiada prababcia. W wolnym czasie chodziłam do moich rówieśniczek z sąsiednich gospodarstw. Grałyśmy w karty, szachy, spacerowałyśmy, opowiadałyśmy sobie przeróżne historie i wspierałyśmy się wzajemnie w tych trudnych dla nas chwilach.

Aż pewnego dnia stała się rzecz nieoczekiwana. Przyszedł list, z którego wynikało, że moja matula postanowiła mnie odwiedzić. Od tej pory wyczekiwałam, kiedy ją ujrzę w bramie. Nazajutrz, gdy wstałam jak zwykle, ubrałam się, uczesałam włosy, bo bez tych wszystkich zabiegów nie mogłabym pracować. W Niemczech przywiązywano bardzo dużą wagę do wyglądu i higieny osobistej pracowników. Codziennie rano ktoś sprawdzał, czy mam wyprasowane ubrania, czystą twarz, ręce, paznokcie i przyczesane włosy. Na początku pobytu bardzo mnie to denerwowało, gdyż w Polsce nie musiałam aż tak bardzo przestrzegać tych wszystkich zasad. Tego dnia zbiegłam po krętych schodach na dół i od razu wiedziałam, że coś jest nie tak, jak powinno być. W kuchni panowało straszne zamieszanie, wpadłam tam i zobaczyłam moją matkę stojącą przy oknie. Z całej siły przytuliłam ją i zaczęłam płakać. Po kilku minutach czułości opowiedziałam jej wszystko, co tylko pamiętałam. Nagle usłyszałam słowa brata „bauerki”: Helga, trzeba wydoić krowy. Zabrałam się natychmiast do roboty. W końcu nadszedł czas pożegnania. Stałam na dziedzińcu i bardzo szlochałam. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego matusia wraca, a ja nie mogę. Mama dostała od gospodyni ubrania, przyrządy kuchenne, pościel, trochę pieniędzy. Byłam bardzo zadowolona z takiej postawy Niemki. Cieszyłam się, że mama nie wyjeżdża z pustymi rękami. Przecież pracowałam dla Niemców i nie otrzymywałam za to wynagrodzenia. Niech chociaż moja rodzina trochę na tym skorzysta.

Zaczęła się zima, a ja każdego dnia rozmyślałam, kiedy wreszcie wrócę do Bukowna. Faktem było to, że wcale nie było mi tutaj źle, gdyż miałam wszystko, czego pragnęłam. Ale bardzo tęskniłam. Na nudę też nie narzekałam. Ciągłe było coś do roboty. Porą zimową kładłyśmy konfitury do

słoików, robiłyśmy dżemy, soki i przetwory. Nauczyłam się tam wielu rzeczy. W wolnym czasie spotykałam się ze znajomymi. Współczułam im bardzo, gdyż nie mieli oni tak dobrze jak ja. Chodzili głodni, w potarganych ubraniach i dziurawych butach – chrząknęła prababcia.

Tak minął rok odkąd przyjechałam do Niemiec. Aż pewnego dnia, pamiętam jak dziś, gospodyni przysłała do stajni i oznajmiła mi, że mam się pakować. Byłam tak wzruszona i szczęśliwa, że w momencie spakowałam walizkę i wyszłam na dziedziniec. Pożegnano mnie ze łzami w oczach, a pani rzekła mi, że byłam dla niej jak córka. Traktowała mnie tak, ponieważ rzetelnie i uczciwie wykonywałam swoją pracę. Z wielkim żalem ucałowała mnie, a na drogę dostałam piękne sukienki, biżuterię i buty. I tak wsiadłam w samochód, który po mnie przyjechał. Stojąc z bagażami na stacji, myślałam tylko o jednym: być już w Polsce.

**Stanisław Dyllus lat 14, wywiad z Piotrem Prockiem,** opiekun: M. Sutyla

**S.D: Proszę opowiedzieć o pierwszych dniach wojny, ile miał Pan lat i gdzie pan był w tym czasie?**

Piotr Procek: Gdy zaczęła się wojna miałem 14 lat. Mieszkałem we wsi Łuków Śląski, niedaleko niemieckiej granicy. Był to pierwszy piątek września i wraz z rodziną szedłem do kościoła, gdy od strony Gaszowic tj. od zachodu jechały już niemieckie czołgi i ciężarówki z żołnierzami. Wielu Ślązaków, którzy mieli poglądy niemieckie, wychodziło na ulicę i z radością witało niemieckie oddziały. W kościele msza była odprawiana normalnie w języku polskim. Ale ta sytuacja nie była dla nikogo zaskoczeniem, ponieważ już od jakiegoś czasu mówiło się o wojnie.

**S.D: Czy w tamtych okolicach odbywały się jakieś walki?**

Piotr Procek: Nie, zdecydowanie nie. Front w tych okolicach przeszedł bardzo łagodnie. Jedynym takim incydentem było wysadzenie mostu kolejowego przez kolejarzy, którzy musieli uciekać na wschód przed Niemcami. Most ten znajdował się około 4 kilometrów od kościoła, a mimo wszystko wybuch ten był bardzo dobrze słyszalny.

**S.D: Jak wyglądało pańskie życie w późniejszym czasie ?**

Piotr Procek: Już jakoś pod koniec września były organizowane normalne lekcje w szkole, oczywiście w języku niemieckim. Osoby chodzące do starszych klas miały dużo łatwiej, ponieważ miały one już wcześniej dwie lekcje niemieckiego w tygodniu. Dla tych młodszych Niemcy mieli przygotowane specjalne książki z obrazkami i nazwami po niemiecku. Ja w tym czasie chodziłem już na praktyki do różnych majstrów, gdyż szkoliłem się na stolarza. I tak życie miało zupełnie normalnie.

**S.D: Jak znalazł się pan w wojsku ?**

Piotr Procek: Na przełomie 1942 i 1943 roku, gdy miałem 17 lat, obowiązkowo trzeba było stawić się do komisji poborowej. Takie miejsce, do którego ja musiałem się stawić, znajdowało się w Rydułtowach. Na miejscu był tłumacz polsko - niemiecki, ponieważ nie wszyscy dobrze znali i umieli mówić po niemiecku. Byliśmy pytani o wiele spraw, takich jak miejsce urodzenia czy nasze umiejętności. Odbywały się tam także różnego rodzaju badania. Pod koniec dostaliśmy książeczkę wojskową i zostaliśmy wpisani na listę osób zdolnych do służby wojskowej. Moje życie toczyło się dalej zupełnie normalnie, chodziłem do szkoły i na praktyki do majstra. Na początku kwietnia 1943 roku dostałem wezwanie do RAD - Przygotowania Do Służby Wojskowej. Miałem się stawić w miejscowości Kandel, leżącej nad Renem, nie daleko Metz we Francji. Na stawienie się tam miałem dwa tygodnie do 17 kwietnia. Na stacji kolejowej w Rydułtowach dostałem informacje jakimi pociągami mam dojechać na miejsce. Nie musiałem za nic płacić, ponieważ wszystko było już opłacone przez niemiecką armię. Jechałem tam ze sporą grupką żołnierzy. Gdy przyjechaliśmy na miejsce, na stacji kolejowej w Kandel czekał już na nas formant, z którym przyjechaliśmy do obozu. Na terenie obozu znajdowały się baraki składające się z trzech części po 10 i po 15 łóżek. Wszyscy byliśmy w ubraniach cywilnych, a więc od razu dostaliśmy mundury i kazano nam się ustawić od najmniejszego do największego na placu przy barakach. Podzielono nas na grupy po 15 osób i zaprowadzono nas do baraków. Podczas szkolenia trwającego 3 miesiące, uczyliśmy się obsługiwać broń, bardzo dużo biegaliśmy i mieliśmy wiele ćwiczeń sprawnościowych. Po trzech miesiącach wróciłam do domu.



## **S.D: Czy to był koniec pańskiej przygody z wojskiem ?**

Piotr Procek: Ależ nie, to był dopiero początek. Już niespełna dwa tygodnie później dostałem pierwsze wezwanie do stawienia się w Rybniku w centrali głównej, gdzie zostałem przydzielony do marynarki. Byłem jednak żołnierzem rezerwowym i pozwolono mi jeszcze jechać do domu. Dwa tygodnie później przyszło drugie wezwanie, tym razem byłem w pierwszej kolejności do wyjazdu na front. Przydzielono mnie do Wehrmachtu. Miałem stawić się na dworcu w Rybniku, skąd odjeżdża cały pociąg z żołnierzami do Mec, miejscowości położonej na terenie Francji. Na miejscu zostaliśmy przydzieleni do Zmotoryzowanej Jednostki Artyleryjskiej 105. Dostaliśmy mundury i broń, a także nieśmiertelniki. Zostałem przydzielony do oddziału stacjonującego w Konflan. Tam byliśmy szkoleni przy obsłudze czeskich haubic 120 mm. Ze względu na to, że bardzo dobrze opanowałem ich obsługę, zostałem we Francji aby szkolić innych w posługiwaniu się nimi. W tym czasie moi koledzy wyjechali na front do Włoszech.

Stacjonowałem w Normandii jakieś trzy kilometry od morza. Znajdowaliśmy się na wzniesieniu, z którego widzieliśmy pierwsze rakiety V1 kierujące się w stronę Anglii. Z racji tego, że miałem ukończone praktyki stolarskie, powołano mnie do wykonania drzwi i wzmocnienia do sztolni, która mieściła 17 metrów pod wzgórzem, na którym się znajdowaliśmy. Szczerze mówiąc nie sądziłem, że moja praca uratuje mi i wielu Niemcom życie.

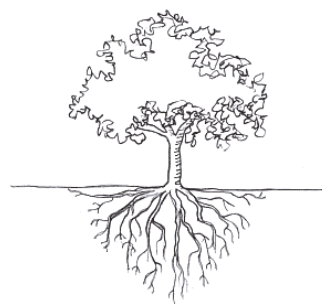
6 czerwca 1944 roku rozpoczęła się jedna z największych operacji desantowych w dziejach, o kryptonimie "Overlord" której padłem ofiarą. Koło 6:00 nad ranem rozległ się ryk syren przeciwlotniczych, a chwilę potem w oddali pojawiła się chmara bombowców kierujących się w naszą stronę. Natychmiast pobiegliśmy do sztolni i do bunkrów porozmieszczanych na całym wzgórzu, chwilę potem spadły pierwsze bomby. Cała ziemia się trzęsła i słychać było tylko świst bomb spadających na ziemię i ich wybuchy. Gdy atak ustał, można było wyjść na powierzchnię, jednak świat, jaki zobaczyłem po wyjściu ze sztolni, był nie do poznania...

## **S.D: Czy wiedzieliście, że wojna dobiega końca ? Co się działo później ?**

Piotr Procek: Były pewne pogłoski, że to już koniec, ale co taki zwykły żołnierz jak ja mógł wiedzieć. Zresztą, zawsze pozostawał zdrowy rozsądek, a taki

atak nie pozostawiał złudzeń, że może być inaczej. Po ataku, gdy niemieckie dowództwo zrozumiało, że Niemcy nie mają szans na wygraną, zdecydowało o wycofaniu się naszego oddziału w stronę Niemiec. Od 6 czerwca wraz z wszystkimi wojskami niemieckimi, byliśmy w defensywie. Wracaliśmy przez Francję, Belgię, Holandię, aż do Niemiec, gdzie zostałem ranny. Od zachodu ścigały nas wojska aliantów ostrzeliwując nas co chwilę z myśliwców i bombowców, niszcząc nasze czołgi. Była zima. Znajdowaliśmy się we wsi w pobliżu Kolonii, właśnie wtedy zostaliśmy zaatakowani. Byliśmy w trakcie postoju, gdy w naszą stronę zostały wystrzelone pierwsze pociski. Ja, wraz z żołnierzem z Ukrainy, schroniliśmy się w piwnicy jednego z domów. Gdy został wydany rozkaz do ataku, musiałem jakoś dostać się do działka artyleryjskiego ukrytego w ogródku po drugiej stronie ulicy. Wyszedłem z piwnicy, przeczołgałem się przez ulicę i nisko na nogach podbiegłem do działka. Oddałem kilka salw, gdy nagle usłyszałem głośny świst i poczułem bolesne ukłucie w szyję.

W tym samym momencie upadłem na ziemię. Zostałem trafiony odłamkiem pocisku, który przeszedł przez moją szyję na wylot. Ranę opatrzył mi ten sam ukraiński żołnierz, z którym chroniłem się w piwnicy. Zostałem zabrany przez sanitariuszy do szpitala polowego urządzonego w jakimś gigantycznym pałacu. Moja rana nie zrobiła na nikim wrażenia, trudno się dziwić, skoro na podłogach leżeli ludzie z oderwanymi nogami i rękoma. Żołnierze, którzy zmarli w wyniku ran, byli szybko grzebani w ziemi bez żadnych uroczystości. Nie było wtedy na to ani czasu, ani środków.



## **S.D: Jak długo przebywał pan w szpitalu, czy wrócił pana od razu do wojska ?**

Piotr Procek: Nie pamiętam już dokładnie, ile czasu spędziłem w szpitalu, zdaje się, że jakieś dwa

tygodnie. Gdy odzyskałem siły, zapytałem lekarza, czy mam prawo do urlopu skoro jestem już w wojsku kilkanaście miesięcy. Otrzymałem od niego zwolnienie na urlop ale ostrzegł mnie, że odwiedzenie domu będzie niemożliwe. Mówiąc to, miał na myśli wojska rosyjskie, które już wtedy zajęły Polskę. Zostałem przydzielony do oddziału rezerwowego. Jako cel mojego urlopu obrałem Wiedeń, ze względu na to, iż pracowała tam w szpitalu moja siostra Elżbieta. Na miejscu okazało się jednak, że wyjechała ona jakiś czas temu do Polski. Na dworcu szczęśliwie napotkałem znanego mi oficera dyżurnego, który zaproponował mi pobyt u zaprzyjaźnionej, austriackiej rodziny. Ludzie ci bardzo ciepło mnie przyjęli i nakarmili do syta. Dawno nie czułem się tak wspaniale. Moje szczęście nie trwało jednak długo. Po urlopie pojechałem do Schwerin, w którym miano otworzyć nową jednostkę, ale były to pierwsze dni maja i Niemcy skapitulowały. Oddałem się do niewoli amerykańskiej. W obozie, w którym wtedy przebywałem, znajdowało się około 120 tys. ludzi. Byliśmy w małej miejscowości ogrodzonej wysokim płotem i drutem kolczastym. Dzienny posiłek składał się z kromki chleba i cieniutkiej zupki. Szczęśliwie znalazłem na obrzeżach wioski pole marchewek samosiejek i nocami wymykałem się na zbiory. Tak udało mi się przetrwać.

#### **S.D: Jak wrócił pan do domu ?**

Piotr Procek: Po ponad pół roku został zorganizowany transport z Schwerin do Lubeki, małej nadmorskiej miejscowości w Niemczech. Stamtąd przepłynąłem do Gdyni, w której znajdował się punkt repatriacyjny. Po kilku dniach dojechałem pociągiem do domu. Bałem się Rosjan, zwłaszcza, że miałem na sobie niemiecki mundur, ale dzięki Bogu nikogo nie spotkałem. Bardzo dobrze pamiętam chwilę, gdy ujrzałem swój rodzinny dom, a rodzina wybiegła mi na spotkanie. Ogarnęła mnie tak ogromna radość, że nie da się jej opisać w żadnych słowach. Pamiętam, że po przyjeździe do domu zdjąłem mundur i w dużej balii wziąłem ciepłą, długą kąpiel.

Wtedy poczułem, że wojna skończyła się naprawdę...

**Tomasz Zawodziński, lat 10, opiekun: M. Pichlak**

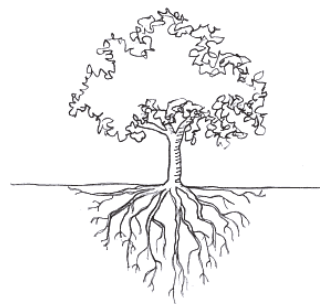
#### **Szkice pamięci – ocalić od zapomnienia**



Mój pradziadek Józef Skorus, człowiek który walczył i cierpiał za wolną Polskę.

Chciałbym opowiedzieć Wam historię mojego św. p. pradziadka Józefa Skorusa. Bardzo szkoda, że nie mógł mi tego wszystkiego opowiedzieć, co przeżył, sam wtedy mógłbym ze szczegółami wszystko opisać, a tak tylko z relacji jego córki, a mojej babci oraz dokumentu, który jej pozostał. Józef Skorus urodził się 30 listopada 1906 roku w Kuźniczce. W 1918 roku, gdy Polska odzyskała Niepodległość, miał 12 lat. Wspomnę, iż do tego czasu nasz region był pod zaborem austriackim.

W sierpniu 1939 roku, gdy już wszyscy przeczuwali, że wybuchnie II wojna światowa, dziadek ochotniczo wstąpił do wojska do 3 Kompanii Obrony Narodowej „Sławków”. Otrzymał stopień strzelca i przydział wojskowy do 204 Pułku Piechoty, gdzie dowódcą był ppłk Wiktor Eichler. Jednostka wchodziła w skład 55 Dywizji Piechoty Rezerwowej pod dowództwem płk. Stanisława Kalabińskiego w „Armii Kraków” .



**POLSKI CZERWONY KRZYŻ**  
**ZARZĄD GŁÓWNY**  
 BIURO INFORMACJI I POSZUKIWAN  
 Nr. Bi. Inf. 77547/P  
 Konto w NBP IV Oddział Miejski  
 Nr. 109-444-132

Warszawa, dnia 18 Sierpnia 1979 r.  
 Mokotowska 14. Tel. 28-33-01  
 Adres pocztowy: 02-260 Warszawa, skrzynka poczt. 197 9

Warszawa, dnia 18 Sierpnia 1979 r.  
 Adres pocztowy: 02-260 Warszawa, skrzynka poczt. 197 9

**WYCiąG z DOKUMENTÓW**

Nazwisko: SKORUS Imiona: Józef  
 Data urodzenia: 20.XI.1906r. Miejsce urodzenia: Muzyczne  
 Imiona rodziców: \_\_\_\_\_ Zawód: \_\_\_\_\_  
 Ostatni adres rodziny: SKORUS Helena Zam. Małobądz, pow. Olkusz Stopień i przydział wojsk: 204 P.P.  
 Data wzięcia do niewoli: \_\_\_\_\_ w \_\_\_\_\_ przez \_\_\_\_\_  
 Data przekazania: \_\_\_\_\_ z \_\_\_\_\_  
 Do: Stalagu III-A - stan z 16.V.42 przez \_\_\_\_\_  
 Numer: \_\_\_\_\_ kategoria: więzień jeńiec wojenny w niewoli niemieckiej  
 Przeniesienia: \_\_\_\_\_

Ostatnia wzmianka w dokumentach: \_\_\_\_\_  
 Uwagi: \_\_\_\_\_  
 Podstawa: \_\_\_\_\_  
 L. str. PKK-20593  
 Adresat: Pan SKORUS Józef  
 zam. Małobądz 37  
 32-329 Bolesław  
 br.

**POLSKI CZERWONY KRZYŻ**  
 Biuro Informacji i Poszukiwań  
 Informacyjny A. Szlamberkowska  
 Warszawa, 1979

ZESPOL • r. 1074 • 100.000

podjęty zaciętą walkę w Rudawie i Młyńce.

W nocy z 6 na 7 września 1939 roku 204 Pułk Piechoty, gdzie walczył mój pradziadek, na terenie miasta Proszowice oddziały polskie zostały niespodziewanie zaatakowane przez pododdziały niemieckiej 10 Armii. Polacy odpowiedzieli ogniem broni maszynowej ustawionej w domach na rynku, cmentarz

w Proszowicach zajął batalion z Rybnika, a artylerzyści zaczęli ostrzeliwać niemieckie czołgi i piechotę. W ciągu nocy trwała intensywne wymiana ognia między oddziałami polskimi a niemieckimi. Nad ranem do natarcia ruszyły niemieckie oddziały pancerne, które przełamały polską obronę i zadały 55 Dywizji Piechoty znaczne straty w ludziach i sprzęcie. Zginęło 118 żołnierzy polskich, 201 zostało rannych. Ponadto 65 Pułk Artylerii Lekkiej stracił 3 działa i kilkanaście koni. Pobite polskie oddziały wycofały się w kierunku północno-wschodnim.

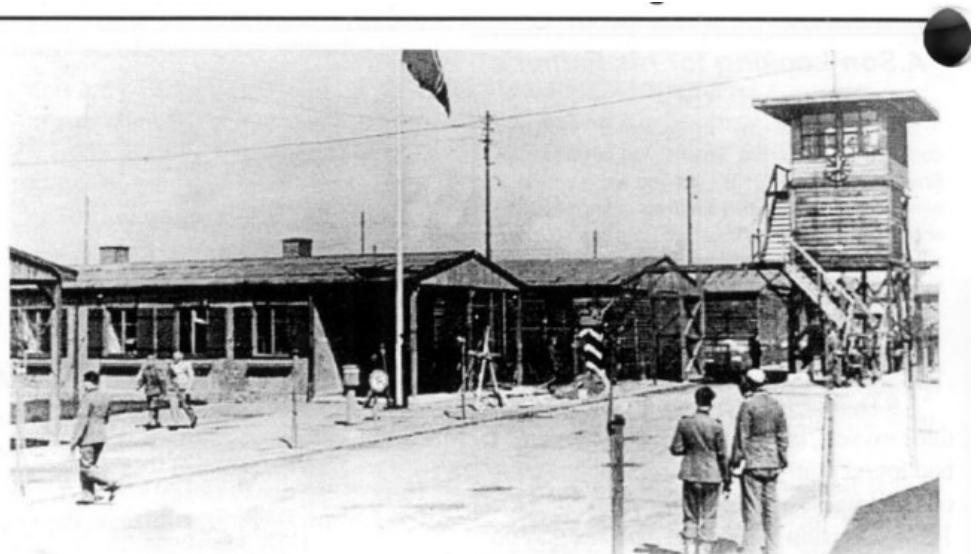
Dziadek przeżył, chociaż, jak opowiadał, było naprawdę bardzo ciężko, tylko cudem nie został ranny. Na polu bitwy pojawiały się coraz to nowe jednostki niemieckie. Wraz z każdym kolejnym natarciem malała nadzieja, że zwyciężą. Żołnierze jedli tylko wtedy, gdy udało się coś znaleźć w nielicznych wsiach, było też trudno o wodę pitną.

Dziadek mówił, iż niektórzy żołnierze nie wytrzymywali tego, wiedzieli, że albo czeka ich „kulka w łeb”, albo dostaną się do niewoli, więc przebierali się w cywilne ubrania, zakopywali mundury i uciekali. Lecz pomimo tej beznadziejności mój dziadek pozostawał na polu bitwy przy swoim 204 Pułku Piechoty. Pozostał,

Jej zadaniem była obrona umocnionego odcinka "Mikołów". W dniach 1-2 września toczyły zacięte walki w rejonie Kobióra i Wyr z niemiecką 8 DP, nacierającą z północnego zachodu na Mikołów i 28 DP, atakującą z zachodu w kierunku Wyr.

2 września jeden z jej odwodowych batalionów odebrał Niemcom kontratakami wieś Wyr. Niestety, 3 września, po zaciętych walkach bitwy granicznej, została zmuszona do odwrotu. 4 września dywizja otrzymała rozkaz odwrotu nad Nidę w kierunku Pińczowa i Miechowa.

W dniu 5 września ostatnie bataliony Dywizji i znajdujące się pomiędzy Krzeszowicami a Krakowem



German Prisoner of War Camp World War II - Look familiar? see bottom of next page.



mimo że nie wiedział, co go czeka.

Mimo wielkiego poświęcenia piechoty, pozbawiony artyleryjskiego wsparcia atak utknął w ogniu niemieckiej artylerii, czołgów i broni maszynowej. Nie widząc szans na sukces, generał Piskor zdecydował się 20 września na złożenie broni. Do niewoli niemieckiej trafiło 11 tysięcy żołnierzy, niestety mój pradziadek również.

Dziadka wywieźli do Stalagu III-A niemieckiego obozu jenieckiego w Luckenwalde w Brandenburgii, 52 km na południe od Berlina. Numer jeńca: 4692

W 1943 roku Niemcy zaczęli likwidować stalagi, zamieniając je na obozy pracy przymusowej. Dziadek trafił do miasta Nauen w Niemczech do niemieckiego bogatego chłopca, który posiadał majątki ziemskie – Manfreda Ziemann.

Baor - tak nazywał go dziadek – opowiadał, że nie był dla niego surowy, pozwolił mu sprowadzić swoją rodzinę, żonę Helenę i siedmioletnią wówczas córkę. Jego żona natomiast w chwili nieobecności męża Manfreda traktowała ich dużo gorzej. Pradziadkowie musieli pracować cały dzień. Gospodarze niemieccy, owszem, dawali im jeść, ale posiłki były tak niewielkie, że chodzili cały czas głodni. Jeśli ktoś został złapany na kradzieży żywności, groził mu wywóz do obozu koncentracyjnego. Musieli się bardzo pilnować, aby nie zostać przyłapanym. Natychmiast po podpisaniu przez Niemców kapitulacji w maju 1945 roku, dziadek wraz z rodziną powrócili do kraju, może nie wolnej Polski, ale do swojej ojczyzny.

Moim zdaniem, mój śp. pradziadek Józef Skorus był prawdziwym patriotą, ponieważ do końca nosił mundur żołnierza polskiego i narażał życie dla ojczyzny. Zastanawiam się, czy byłbym zdolny do takich poświęceń jak mój pradziadek - gotów oddać życie za swój kraj.

Dziś patriotyzm różni się od tego podczas wojen i zaborów, teraz to mówienie dobrze o swoim kraju i posiadanie wiedzy historycznej i tradycji, obchodzenie świąt, szanowanie symboli narodowych.

Na szczęście u nas nie toczą się wojny i mam nadzieję, że nie będę musiał przeżywać tego, co mój pradziadek i wszyscy Polacy, którzy zginęli i cierpieli za nasz kraj po to, abyśmy mogli teraz uczyć się, mówić i mieszkać w wolnym kraju - Polsce.

**Franciszek Picheta, lat 9,**

Korzenie

opiekun: M. Pichlak

### **Rodzinne wspomnienia – prababcia Lucia.**

Moja ukochana prababcia Lucia odeszła od nas już prawie dwa lata temu. Miała 89 lat.

Mieszkałem z nią przez wiele lat i bardzo ją kochałem. Prababcia Lucia to nie była babunią w bujanym fotelu z drutami i kłębkim wełny na kolanach. To nie była babcia siedząca przed telewizorem czy na ławeczce przed domem. Prababcia zawsze miała coś do zrobienia, zawsze się spieszyła do pracy i miała twarde zasady.

Moja prababcia pochodziła z Krzykawy. Urodziła się 13 lutego 1927 roku. Z domu nazywała się Molęda. Jej tata Jan był górnikiem, mama Stefania pracowała w polu i miała tylko jedną siostrę Basię. Pochodziła z dobrej rodziny i nie miała biedy. Ukończyła szkołę podstawową, 8 klas, tzn. dwa razy chodziła do 7 klasy. Potem ukończyła kurs krawiecki i rodzice kupili jej maszynę do szycia. Teraz ta maszyna stoi u mnie w domu. Mama potrafi na niej szyć, bo prababcia ją nauczyła.

Ja z młodszym bratem tylko czasem bawimy się tym wielkim kołem, które tak charakterystycznie stukocze. Ten dźwięk przypomina mi babcię.

Kiedy wybuchła II wojna światowa, miała 12 lat. Oprócz nauki, jako dziewczynka, miała pomagać w domu i w polu. Tata szedł do pracy, a ona pomagała mamie. Jadła śniadanie, np. wodzionkę, tzn. pokruszony chleb zalany wodą, w której gotował się wcześniej kawałek boczku, albo zacierkę tzn. jakby kluseczki lane z mlekiem. Sprzątała dom, szorowała drewnianą podłogę szczotką drucianą (ale to tylko w sobotę), dawała jeść kurom, kaczkom, gęsiom, indykom, krowie, kozom i świniom. Gotowała z mamą i siostrą obiad. Piekła chleb, też zwykle raz w tygodniu w piecu węglowym, miał wystarczyć na cały tydzień. Trzy razy dziennie doiła krowę i kozę. Mleko było prawie przy każdym posiłku, a z niego robiły jeszcze kwaśne mleko, śmietanę, serwatkę, masło i ser. Prała brudną bieliznę, prasowała żelazkiem z duszą. Pozostałą część dnia spędzały na pracy w polu. Pamiętam, że zawsze jak jechaliśmy do Sosnowca albo do Dąbrowy Górniczej, to prababcia wspominała, że ona chodziła piechotą z pełnymi koszami wiśni na targ do Dąbrowy sprzedawać je.

Babcia bardzo lubiła naturę, rośliny i zwierzęta. Kiedy mieliśmy kozę, zawsze mówiła do niej po imieniu i głaskała ją. W 1943 roku, gdy miała 16 lat, pracowała w Sławkowie w zakładach przemysłu drucianego braci Szajn. Pracowała przy wiązaniu siatki. Za męża wyszła za mojego pradziadziusia

Strona 8



Mietka, który pochodził z Małobądza, miała wtedy 22 lata. Razem z Dziadkiem wybudowali na Małobądzu nowy, murowany dom. Mieli dwoje dzieci, starszego syna Stacha i córkę, moją babcię Jadzię.

Bardzo ciepło wspominam moją babusię i bardzo za nią tęsknię. Brakuje mi jej szurania wielkimi butami po podłodze i chodniku. Nauczyłem się od niej, że nie wolno się nad sobą rozczulać, że trzeba twardym być i dużo pracować, wtedy człowiek jest zadowolony i ma satysfakcję. Moja Babcia często powtarzała: „ucz się ucz, bo nauka to potęgi klucz”, mówiła, że jak będziemy się uczyć, to będzie nam w życiu lżej i inni ludzie będą nas szanować.

## **Jakub Dziura, lat 12,**

opiekun: M. Pichlak

### **Wspomnienia patriotyczno-religijne**

Kiedy rozmawiałem z moją prababcią Sabiną o czasach II wojny światowej, to „ciarki” przechodziły mi po całym ciele. Wojna to czas, który mojej babci kojarzył się z bólem, z rozstaniem z bliskimi, z serią tragedii, a także ze śmiercią. Choć była wtedy małym dzieckiem, to wiele zapamiętała z tamtego okresu. Każdy wie, że czasy wojenne nie są miłymi wspomnieniami, ale powinno się o nich mówić, aby pamięć o nich nie zanikła.

Prababcia Sabina pochodzi z małej miejscowości Łęka koło Dąbrowy Górniczej. Urodziła się w 1932 roku. Gdy miała 7 lat to wybuchła II Wojna Światowa. Mieszkała wtedy z rodzicami i starszą siostrą Ryszardą. Tego dnia było bardzo ciepło, pogoda była piękna. Na niebie latały samoloty, niemieckie wysoko a polskie nisko. Przebywała wraz ze swoją mamą i siostrą w polu, zbierały warzywa. Ich tata był w pracy, pracował jako górnik na kopalni. Podczas nieobecności swojego ojca, przyszedł sąsiad – pan Franciszek, który poinformował jej mamę, że zbliżają się wojska niemieckie do ich miejscowości. Nie rozumiała jeszcze wszystkiego do końca, co on mówi, ale poczuła, że coś dzieje się niepokojącego.

Były bardzo zaniepokojone i zdenerwowane. Nie wiedząc, co robić, wybiegły na ulicę i tam zobaczyły „chmarę” prędko uciekających ludzi. Wszyscy biegali, krzyczeli i płakali, byli zrozpaczeni, gdyż bali się śmierci swojej jak i bliskich. Każdy chciał się gdzieś ukryć. Mężczyźni uciekali do pobliskiego lasu, a kobiety i dzieci ukrywały się w piwnicach, drżąc ze strachu. Na wsi

słysząc było krzyki kobiet i płacz dzieci, które nie wiedziały, co tak naprawdę się dzieje. One ukryły się w piwnicy, martwiąc się o swojego tatę. Jak tata wrócił do domu to były spokojniejsze, cieszyły się, że są razem. Pewnego dnia, kiedy tata pojechał na rowerze do pracy na kopalnię, a pracował 3 razy w tygodniu, zapomniał zabrać dowód osobisty. Mama powiedziała, abym go zawiozła tacie, bo w razie sprawdzania przez Niemców, to mogliby go zabrać do obozu koncentracyjnego. Wtedy były takie zasady, że każdy Polak musiał mieć ze sobą dowód w razie spotkania z Niemcami. Dowodów tylko nie mieli Żydzi i byli oni w ten sposób rozpoznawani. Wtedy zabrała dowód i próbowała go dogonić. Z daleka zauważyła, jak jej tato został sprawdzany i na własnych oczach widziała jak został zatrzymany i wsiadał do niemieckiego samochodu. Podjechała najszybciej jak się dało do samochodu niemieckiego, gdzie siedział tata i wręczyła dokumenty. Niemcy posprawdzali dokumenty i tatę wypuścili. To było pierwsze spotkanie z oficerami niemieckimi i nie ostatnie podczas łapanek ulicznych.

Nie uczęszczała z siostrą do szkoły, gdyż Niemcy pozamykali wszystkie pobliskie szkoły. Dzieci nie musiały chodzić do szkoły w czasie wojny. Czasami rodzice potajemnie w piwnicy uczyli ją i siostrę czytać, pisać i liczyć. Każdy radził sobie jak umiał.

W okresie wojennym żyło się bardzo ciężko. Panowała okropna bieda. Rodzice mieli kawałek ziemi, hodowali krowy i kury. Z mleka krowiego robili masło, które musieli oddać Niemcom. Wszystko trzeba było przed nimi chować, bo by im zabrali. Część jedzenia zakopywano w ziemi, aby niemieccy żołnierze nie zabrali wszystkiego. Jedli to, co uchowali sami, czyli mleko, masło, warzywa, mięso z kur, oraz gdy naszła potrzeba to nawet koninę. Musieli jednak uważać na niemieckich żołnierzy, ponieważ jak ktoś zabił zwierzę na własną korzyść to był karany. Taki gospodarz, który tego dokonał, był wywożony jako tania siła robocza do III Rzeszy lub do obozu koncentracyjnego, a jego zwierzęta zostawały zabierane.

Ogólnie dzieci w tamtym rejonie były traktowane przez Niemców dobrze. Nie wszyscy Niemcy byli źli. Niektórzy byli wręcz grzeczni. Jeden komendant niemiecki to nawet dawał raz w tygodniu nam trochę jedzenia. Niektórzy zaś byli podli, wywyższali się, zabijali, nie patrząc na nikogo. Ogólnie Niemcy jej rodzinę traktowali przyzwoicie. W Łośniu, gdzie był najbliższy posterunek, to Niemcy dawali bony lub tak zwane „becukszaje” na buty i ubrania. Rolnik, który siał, a potem zbierał zboże, musiał wszystko

oddać, a w zamian otrzymywał mąkę. Mąka ta nie nadawała się do niczego, chleb był ciemny i twardy. Rodzice pracowali bardzo ciężko i nie dostawali za to wynagrodzenia. Czasami dostawali kilka kromek chleba i to było wszystko. Pracowali od świtu do nocy w okopach. Tata musiał pogodzić pracę w kopalni z pracą w okopach. W pracy w okopach liczyła się wytrzymałość. Kto był słaby fizycznie, to go zabijali i nie było mowy o jakichkolwiek przywilejach. Rodzice pracowali bardzo ciężko w trudnych warunkach pogodowych, w deszczu jak i w mrozie czy upale. Razem z siostrą przebywały w domu, gdzie chodziły w pole.

Często na wsiach pojawiały się kradzieże, które były na porządku dziennym. Niemcy kradli wszystko, co było można, co znaleźli cennego.

U nas okradli całe gospodarstwo, maszyny, klamki miedziane i różne cenne przedmioty. W kościele w Łęce skradli dzwon, który był zawieszony nad wejściem. Na wsi każdy pilnował siebie i swojej rodziny. Nie można było nikomu ufać, bo nie wiadomo z kim ktoś miał do czynienia, z Rosjanami czy z Niemcami. Często, gdy jedni, albo drudzy dowiadywali się, że ktoś jest po stronie przeciwnika to został rozstrzelany, a jego dom spalony. Babcia opowiadała, że często były przeszukiwane domy, aby sprawdzić, czy nikomu się nie pomaga. W okolicach wsi i lasach też było niebezpiecznie, bo można było trafić na żołnierzy i po prostu zginąć. Gorszy chyba byli Rosjanie niż Niemcy, gdyż zachowywali się jak bydło, kradli, pili, gwałcili kobiety, jak odchodzili to wszystkim robiło się lżej na duszy.

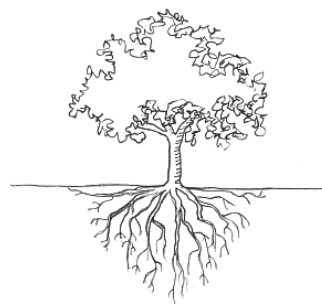
Pod koniec wojny trafiła do pracy jako listonoszka, miała wtedy około 12 lat. Zabrali ją Niemcy od rodziców i żyła w rozłące i smutku, bez bliskich. Jej zadaniem było przekazywanie listów od żołnierzy niemieckich do głównego dowódcy. Listy te informowały o dalszych zamiarach i planach. Pracowała tam niedługo, bo zaczęło się wyzwolenie. W dniu wyzwolenia przyjechały ruskie wojska na koniach. Z tego co pamięta to było dużo strzelaniny, pozabijane konie, popalone domy. Strzały z karabinów w dachy budynków dawały bardzo głośne odgłosy. Było to bardzo straszne i przerażające. Wtedy zginęło bardzo dużo ludzi.

Pierwsze dni po wojnie były straszne, na ulicach leżało pełno zabitych koni, pomordowanych ludzi i spalone domy. Ludzie nie mieli gdzie się podziąć. Przez dłuższy czas każdy kto przeżył, dochodził do siebie. Wsie były bardzo zniszczone. Panowała wielka pustka, brakowało ludzi. Mieszkańcy zaczęli

się uśmiechać, gdy dowiedzieli się, że ten koszmar się skończył, koniec nękania i prześladowania. Brakowało zwierząt, jedzenia, pracy, ubrań.

Gdy skończyła się wojna, poszła do szkoły, gdzie ukończyła 3 klasy. Jej mama nauczyła ją szycia, szyla dla pobliskich mieszkańców i zarabiała na chleb. Czasy wcale nie były lepsze od tych sprzed wojny. Trzeba było wszystko zaczynać od początku. Tyle tylko, że ludzie czuli się bezpieczniejsi. Całe powstanie przeżyła w jednej wielkiej niewiadomej. Najgorsza była świadomość, że tak naprawdę, nie wie, co ją spotka, co się dzieje z jej bliskimi i czy przeżyje.

Cieszę się, że miałem okazję poznać historię od babci, a nie z książki. Nie ukrywam, że dało mi to wiele do myślenia. Myślę, że warto jest poznawać historię od osób, które tego doświadczyły – uważam ten sposób za najlepszą lekcję historii, którą zapamiętam na zawsze.



**Igor Falda, lat 10,**  
opiekun: M. Pichlak

### **Rodzinne wspomnienia historyczno – patriotyczne**

Patriotyzm - to miłość człowieka do swojej ojczyzny. W dzisiejszych czasach patriotyzm postrzegany jest inaczej niż kilkaset lat temu. Dawniej człowiek był gotów zrezygnować ze wszystkiego, aby ratować swój kraj przed nieszczęściem, niewolą. W obecnych czasach to zwykle starsze osoby pielęgnują tradycję i kulturę polską. Posiadają wiele patriotycznych postaw, nigdy nie mówią źle o swoim narodzie. Szanują barwy narodowe, śpiewają hymn z największą czcią. Starsi ludzie pragną przekazać swoje wartości młodym ludziom.

Moja prababcia Zosia urodziła się 25.10.1921r. w Ujkowie Nowym. Do szkoły uczęszczała do Krążka. Często opowiada historie związane z II wojną światową. Są to historie dramatyczne, nie zawsze kończą się dobrze. Gdy wybuchła wojna, moja prababcia była pół roku po ślubie z moim pradziadkiem Wawrzyńcem. Mój dziadek Tadeusz urodził się 28.10.1939 roku. Początkowo prababcia nie zdawała sobie sprawy z wiadomości o wybuchu wojny, mój pradziadek zapewniał ją, że wszystko będzie dobrze, wojna szybko minie a ich ona nie dotknie, ponieważ mieszkają na wsi- tak moja prababcia wspomina rozpoczęcie ataku Rzeszy Niemieckiej na Polskę.

Słowa mojego pradziadka Wawrzyńca okazały się jednak nieprawdą, wojna ogarnęła wszystkie zakątki naszego kraju również Ujków Nowy. Kiedy oddziały niemieckie zbliżały się do wsi, mieszkańcy podjęli decyzję o ucieczce do pobliskiego lasu, w okolice dzisiejszych Lasek. Moim pradziadkom wraz z moim maleńkim dziadkiem Tadeuszem udało się uciec. Ale naszej rodzinie Opalów, którzy mieszkali nieopodal naszego domu, nie udało się zbiec. Zostali wywiezieni do obozu w Oświęcimiu. Prababcia opowiadała, że pamięta „płacz kobiet i dzieci oraz krzyk, przeraźliwy krzyk...” Kiedy powrócili do domów, ich radość nie miała granic, tylko tak jakoś ta ich wieś opustoszała. Nie wszystkim udało się uciec.

Wtedy moja prababcia zrozumiała, czym jest wojna, jak straszne okrucieństwo niesie za sobą. Jak w ciągu kilku chwil można stracić wszystko. Mimo tego, że wszyscy się bali o swoją przyszłość, nigdy nie odmawiali pomocy drugiemu człowiekowi.

Jedno szczególnie wydarzenie zapadło w pamięć mojej prababci. Jak powszechnie było wiadomo, zabijano wszystkich Żydów z okolic, więc szukali schronienia również na wsi, gdzie mieszkali moi pradziadkowie. Mój pradziadek Wawrzyńiec postawił babcię w sytuacji bez wyjścia i chcąc pomóc biednym ludziom, schował ich w piwnicy. Spędzili oni w ukryciu ponad tydzień. Moja prababcia początkowo miała to dziadkowi za złe, ale potem jednak się przekonała, że ludziom trzeba pomagać.

Nic się nie wydarzyło. Niemcy nie wtargnęli do domu, nie przeszukiwano mieszkań ani piwnic. Ale piętno i strach, jaki zostawiła tamta sytuacja, prababcia pamięta do dziś. Gdyby coś takiego się

wydarzyło, zostaliby skazani na rozstrzelanie lub zesłanie do obozu, co również wiązało się ze śmiercią. Moja prababcia wspominała również o świętach Bożego Narodzenia 1939 roku.



Były to najsmutniejsze święta nie tylko dla nich, również dla całego narodu polskiego. Ponieważ były to święta w obliczu wojny. Późniejsze losy toczyły się różnie, lecz w sercu babci na zawsze pozostanie wyrte uczucie nienawiści do wojny. Wojny, która siała strach, obdzierała z człowieczeństwa, która pozostawiła po sobie taki ogrom nieszczęść, że ja nawet nie jestem w stanie tego sobie wyobrazić .

Mimo tego, że oboje z moim pradziadkiem, który zmarł długo po wojnie, przeżyli, wychowali trójkę dzieci, wybudowali nowy dom, to mogę stwierdzić, że wojna zabrała im najpiękniejsze młodzińcze lata, zabrała również bliskich, znajomych, sąsiadów. Mimo tych wspomnień, późniejszych tragedii rodzinnych, moja prababcia Zosia pozostaje wesołą, pogodną osobą. Tylko czasem, gdy zaczyna opowiadać, wracają wspomnienia, prababcia poważnie, smutnie, na jej policzku pojawia się łza.....

Każdej historii opowiedzianej przez moją prababcię słucham z zapałem. Podziwiam ją za jej męstwo, odwagę, charakter. Myślę, że wynikało to z czasów, w jakich żyli z moim pradziadkiem Wawrzyńcem, czasem żałuję, że go nie poznałem, ale jego nie znała nawet moja mama. Moja prababcia pokazuje mi często jego zdjęcia, jego pamiątki.

Moja prababcia nigdy nie narzeka mimo że dożyła tak sędziwego wieku, jest wspaniałą kobietą. Moim zdaniem jej odwaga, męstwo wynikało z miłości do swojej ziemi. Babcia zawsze powtarza, że trzeba żyć według zasad.

Jej zasady to: „BÓG, HONOR, OJCZYZNA”.



Myślę, że dla każdego człowieka, który kocha swój kraj, te słowa powinny być drogowskazem. Dla mnie moja prababcia jest bohaterką, jest moim przewodnikiem w dzisiejszym świecie. Podziwiam ją pod każdym względem, często ją odwiedzam. Bardzo lubię jej opowieści, dzięki niej nie wyobrażam sobie, że mógłbym mieszkać w innym kraju niż Polska. Czuję się patriotą i jestem dumny z mojej rodziny.

**Dominika Nalepa lat 10,**  
opiekun: M. Pichlak

### **Historia Wiesi, czyli mojej babci.**

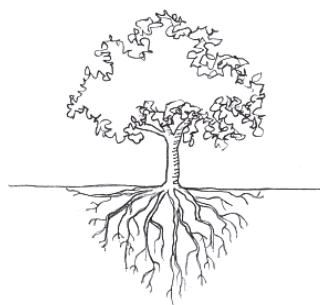
Historia zaczyna się 17 września 1949r. Gdy babcia miała półtora roku urodziła się jej siostra Grażyna, obecnie babcia ma 5 sióstr i 1 brata.

Półtora roku po urodzeniu Grażyny rodzice wyprowadzają się do Sławkowa, lecz babcia zostaje z dziadkami w Podlipiu. Od tamtej pory traktowali ją jak własną córkę. Babcia, gdy miała 7 lat, poszła do szkoły w Podlipiu. Była „średnią” uczennicą, ponieważ ani jej babcia ani dziadek nie umieli pisać i czytać, ale sobie radziła. Do komunii św., przystąpiła gdy miała 9 lat.

Niestety, gdy była w czwartej klasie, uległa wypadkowi. Podczas śmigusa-dyngusa, gdy oblewała się wodą z koleżanką i przebiegała przez drogę, wówczas potrącił ją przejeżdżający motor, po upadku doznała wstrząsu mózgu. Niestety, nic nie pamiętała z tamtego zdarzenia.

Gdy miała 14 lat ukończyła szkołę podstawową i poszła do szkoły średniej w Bukownie. Rok później spotkała miłość swojego życia. Był to mój dziadek Jerzy, który pochodził z Krzykawki. Gdy mieli po 21 lat wzięli ślub. A następnie, w wieku 22 lat, zaczęli budować swój dom w Krzykawce, w którym obecnie mieszkam z rodzicami, siostrą Angelą i babcią Wiesią. Gdy urodziła im się córka Asia, przed skończeniem budowy domu mieszkała u dziadków mojej babci. 2 lata później urodziło im się kolejne dziecko, syn Łukasz. W tym samym czasie zakończono budowę

domu, więc od razu ze szpitala przyjechali do swojego nowego domu. Pierwszy wziął ślub Łukasz z Agnieszką, która pochodziła z Sosnowca. Rok później ślub wzięła Asia z Darkiem, którego znała od dzieciństwa, ponieważ mieszkał tuż obok. Agnieszka i Łukasz pierwsi mieli dziecko, a nazwali je Angela. 6 lat później urodziła im się córka Dominika [czyli ja], a także Asi urodził się syn Filip. Gdy Filip miał 3 lata urodził mu się brat Franek. Obecnie babcia ma 4 wnuków: 17- letnią Angelę, 11- letniego Filipa i Dominikę oraz 8 letniego Franka. Mówiła, że nas bardzo kocha i nie wyobraża sobie życia bez nas.



**Aleksander Hruzd**  
opiekun: M. Pichlak

### **Wielka bohaterka XX wieku Pani Irena Kozubowska**

Moja babcia Barbara Piela opowiedziała mi o niezwyklej osobie, pani Irenie Kozubowskiej, która była jej nauczycielką w pierwszych klasach szkoły podstawowej. Pani Irena przeżyła dwie wojny światowe i była więźniarką w Oświęcimiu. Jest pochowana na bolesławskim cmentarzu. Wraz z babcią odwiedziliśmy jej grób, którym moja babcia opiekuje się do tej pory, aby zapalić znicze. Właśnie podczas tej wizyty dowiedziałem się wielu ciekawych rzeczy, postaram się opisać je poniżej.



W mojej pamięci na zawsze pozostaną wspomnienia mojej pierwszej nauczycielki. Często odwiedzała mnie w moim domu. Były to lata kiedy ja miałam już rodzinę, a ona przyjeżdżała na grób swojej mamy i babci. Snuła wtedy opowieści o wojnie, rodzinie i znajomych. Siadałyśmy przy herbatce i cicho grającym radiu. Nasłuchiwała... Często na Pierwszym Programie Polskiego Radia śpiewał Jan Kiepura. Uwielbiała go. To był jej kolega z czasów szkolnych - z uśmiechem i ekscytacją powtarzała „Bułeczka śpiewa”, tak wołali na niego w szkole - opowiadała babcia.

Pani Irena urodziła się 17 lipca 1900 roku w Częstochowie, w rodzinie inteligenckiej. Jej Ojciec Władysław zarządzał kilkoma kopalniami na terenie Śląska. Dziadek walczył w powstaniu styczniowym. Ukończyła Gimnazjum Polskiej Macierzy Szkolnej w Sosnowcu, a w 1918 (roku, w którym Polska odzyskała niepodległość) zdała maturę. Działała w harcerstwie. Była też członkinią Polskiej Organizacji Wojskowej. W czasie powstania śląskiego pracowała jako sanitariuszka w szpitalu. Po ukończeniu studiów w Krakowskim Studium Rolniczym podjęła pracę w rolniczej szkole w Międzywiciu na Śląsku. Na początku drugiej wojny światowej została aresztowana. Szybko jednak została zwolniona dzięki interwencji znanego pisarza Gustawa Morcinka z nakazem opuszczenia Śląska. Przyjechała do Krążku koło Bolesławia, ponieważ po śmierci ojca tutaj zamieszkała jej matka. Podjęła pracę fizyczną w kopalni Bolesław. W tym czasie została zaprzysiężona w Związku Walki Zbrojnej oraz AK. Jakiś czas była kurierką

przenoszącą meldunki pomiędzy Generalną Gubernią i Rzeszą.

W 1942 roku została aresztowana i przewieziona do obozu w Oświęcimiu. Tam wytatuowano jej numer 15670. Przeszła bardzo trudny okres w swoim życiu. W obozie chorowała na tyfus. Nie poddawała się, wierzyła że przeżyje. W 1944 roku wywieziono ją do obozu w Ravensbrueck, a następnie do Bergen Belsen. Po trzech latach pobytu w więzieniu została wyzwolona przez żołnierzy angielskich z 63 pułku Artylerii Przeciwpancernej. Powróciła do Krążku około roku 1952 i podjęła pracę jako nauczycielka w bolesławskiej podstawówce. Po śmierci matki przeniósł się do Olkusza, gdzie do końca swoich dni mieszkała ze swoją opiekunką i wychowanką Zofią Trębalską. Pani Kozubowska zawsze ze łzami w oczach i wielką czułością opowiadała o swoim młodszym bracie Tadeuszu.

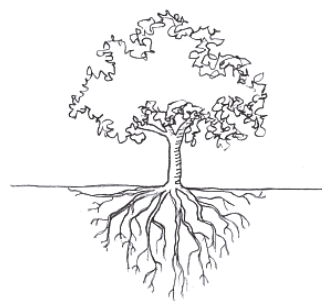
*Wiesz Basiu on był taki zdolny...*

*Ukończył Centrum Wyszkozenia Broni Pancernej w Modlinie. Jako oficer dowodził plutonem czołgów. Poległ na obcej ziemi w 1940 roku.*

*Nie miał tyle szczęścia co ja...*

*Odwiedziłam jego grób we Francji.*

Pani Irena była wspaniałym człowiekiem. Pomimo ogromnego cierpienia i wielu trudów, zawsze pozostawała uśmiechnięta i pełna wiary w dobroć ludzi. Działała w Związku Bojowników o Wolność i Demokrację – organizacji kombatanów i udzielała się społecznie. Utrzymywała kontakty z koleżankami i kolegami więźniami. Zmarła, mając 99 lat, ciesząc się wolną Polską. Jej ogromna odwaga powinna być wzorem do naśladowania.



Zdjęcia Ireny i Tadeusza Kozubowskich wraz z opisem można oglądać na wystawie stałej, zatytułowanej „Walka i martyrologia Polaków w latach 1939- 1945”, która jest eksponowana w bloku nr 15 na terenie Auschwitz- Birkenau w Oświęcimiu. .



**Wydawca: Centrum Kultury im. Marii Płonowskiej w Bolesławiu**

**Zespół redakcyjny: Tomasz Sawicki, Agnieszka Anioł, Barbara Rzońca**

Redakcja oświadcza, że za treść nadesłanych do druku artykułów odpowiedzialność ponosi autor.